

Ze **Stanisławą Celińską**
rozmawia Magdalena Rigamonti

Dlaczego pani się ze mną umówiła w najbardziej politycznym hotelu w kraju?

To czysty przypadek, poza tym tu jest spokój, zacisznie. A do polityki się nie zabieram, broń Boże, proszę się nie obawiać. Od dawna z polityką nie mam nic wspólnego. Kiedyś, dawno, byłam za Solidarnością. Zapalałam świeczkę w oknie, śpiewałam dla Solidarności, występowałam. Ale to się skończyło. Teraz ani czasu, ani zdrowia, ani nerwów do polityki nie mam. Poza tym w moim wieku polityka jest mi naprawdę niepotrzebna.

Pani się zawsze postarza.

W przyszłym roku kończę 70 lat i chcę się cieszyć życiem, a polityka to jest jednak bagno. Nie będę w nie wdępywać. Znaczący może nie bagno, ale rządzenie krajem, rządzenie Polakami, to jest bardzo trudna rzecz. Przecież tu nie ma dyscypliny, raczej bezholowie, każdy sobie, nie myśli o innych. Trochę to straszne.

ile myśli. Śpiewałam, oni słuchali, a potem chcieli jeszcze ze mną pobyc.

Dlaczego?

Nie wiem, może dlatego, że jestem osobą wiarygodną, że swoje przeżyłam, że miałam swoje prywatne problemy, z życiem, z alkoholem. Myślę, że te kolędy, które nagraliśmy, też będą dobrze na ludzi działać.

Pani zawsze taka nie była, taka do przytulania, do zwierzania.

Wcześniej byłam pewnie ostrzejsza, inna. To jest kwestia wyborów. Zrozumiałam, że jako aktorka mogę dotykać pewnych tematów, ale nie muszę, mogę grać pewne role albo ich nie grać, mogę się babrać w strasznych problemach tragicznych, wykolejonych postaci albo tego nie robić. I ja wybrałam.

Bo działały na duszę?

Hm. Zostawały w środku. Nie tak dawno dostałam z Teatru Telewizji propozycję fantastycznej roli do zagrania. Fantastycznej, ale negatywnej. I może zrobiłabym to świetnie, tylko co z tego. Pomyśla-



Dobro można pokazać za pomocą zła, problem w tym, że to zło musiałam ja pokazać. Ja, aktorka, ja – Stanisława Celińska. Przyszedł moment, kiedy powiedziałam: dość. Nie wytrzymałam napięcia

nim... Ale to nie ma żadnego znaczenia, bo to jest największe szczęście dla człowieka, jeżeli każdego dnia będzie miał dużo do roboty". Albo jak mówi o tym, że nawet jeśli jest się takim małym oczkiem w swe-trze, które musi trzymać jedno oczko przed sobą, jedno za sobą, to znaczy, że jest się ważnym. A potem dodaje „(...) I tak sobie myślę, że po to Pan Bóg umieścił nas na tej ziemi, żebyśmy mogli wytrzymać jedni z drugimi (...)”.

I po to jest ten teatr?

No, po to. Żeby człowiek znalazł siebie w tym wszystkim.

Jaki to wszystko, co pani mówi, ma związek z pani religijnością?

Opowiem pani o mojej religijności. Jezuska pokochałam, kiedy miałam 12 lat. Adorowałam jego grób. Pamiętam, że siedziałam się pod takim białym welonem. Siedziałam i przeżywałam tę jego mękę. Potem mijały lata, a ja z wiarą miałam różnie, raz byłam dalej, raz bliżej, ale raz na jakiś czas taki filar stawiałam, a to przygotowałam monodram „Księga

nia głównej roli w jej najnowszym filmie „Pokot”, ale ona też rozumie moją decyzję. A ja wiedziałam, że nie mogę tego zagrać. Zadzwoeniłam do niej na trzy tygodnie przed rozpoczęciem zdjęć, powiedziałam, że nie dam rady. Wiedziała, że nie chodzi o to, że nie dam rady z bieganiem po górach, jeżdżeniem samochodem, z wysiłkiem. Nie boję się wysiłku. Jeśli czuję, że za czymś jest jakaś dobra idea, coś według mnie ważnego, to pewnie byłabym w stanie góry przenosić. Mnie było coraz ciężiej z tą myślą, z tą rolą kobiety, która kładzie trupem innych ludzi. I w pewnym momencie przyszła myśl, że nie dam rady, że nie chcę zabijać nawet w filmie.

To film przecież.

Dla pani może tylko film. Ale już mówiłam, że to zło gdzieś w aktora wchodzi. Wchodzi też w widzów. Wiem, co mówię, bo przez całe życie grałam wiele ról, które miały w sobie zło.

Przyciągała je pani?

Pewnie przyciągałam. Miałam w sobie potencjał i siłę, które

Z wszystkimi trzeba po dobroci

Do pani Igną ludzie.

Igną, to prawda.

Przytulać się chcą. Trochę jak do matki.

To też prawda.

I wiem, że chcą, żeby im pani mówiła, co jest dobre, co złe, jak mają żyć.

To też się zdarza. Ale jak mają głośować, kogo wybierać, komu sprzyjać, nie będę mówić. To nie jest moja rola. Ja się tym nie zajmuję. Mówiłam pani, że daleko mi do polityki. Jedno mogę powiedzieć, że nie podobają mi się postępująca laicyzacja społeczeństwa. Ona nie doprowadzi do niczego dobrego. Mamy chrześcijańskie korzenie i powinniśmy się ich trzymać. Mówię to z perspektywy osoby wierzącej. Z drugiej strony wiem, że ludzie nie lubią, kiedy im się coś nakazuje, kiedy działa się siłowo. Uważam, że ze wszystkimi trzeba po dobroci. Błogosławię czas, zajmuję się tym, w czym się dobrze czuję. Robię swoje, jak mówił Młynarski, i nie staję po żadnej stronie, nigdy nie należałam do żadnej partii i politycy chyba wiedzą, że nie dałabym się zaangażować, wciągnąć w żadne wybory, poparcia, więc mam z nimi święty spokój. Wiedzą, że ja nic nie muszę.

Przyjemne to, co?

Bardzo, to wolność, rodzaj wolności. Pani mówiła o przytulaniu. A co do tego przytulania, to działałam teraz na jakiejś przedziwnej zasadzie... Po dwóch godzinach koncertu mówię do ludzi: bardzo państwa proszę, jeśli macie jakieś pytania, chciecie porozmawiać, to przyjdźcie. I oni przychodzą. Czasem jest ich bardzo wielu. Widzę wtedy, ile w nich zasiąlam nadziei, ile dobrych rzeczy, ile wzruszeń,

łam sobie, co widzom przyjdzie po tej roli, co mnie przyjdzie, jakie przesłanie będzie z niej wynikało, co ja ludziom tą postacią powiem.

Odmówiła pani?

Odmówiłam. Mogłam sobie na to pozwolić. Może inaczej bym postąpiła, gdybym nie miała tego śpiewania, tych koncertów, tego jeżdżenia po Polsce, tych spotkań z ludźmi. A tak mam śpiewanie, do tego granie w teatrze spektaklu „Grace i Gloria”, takiej bożej sztuki, napisanej przez charyzmatycznego amerykańskiego autora, w której sporo mądrości życiowych, dużo ciepła i trochę smutku. Ludzie mogą i popłakać, i pośmiać się, ale wychodzą naładowani dobrem.

Krzysztofowi Warlikowskiemu nadal pani odmawia?

Nie jestem już w jego teatrze. Oczywiście, że dobro można pokazać za pomocą zła, problem w tym, że to zło musiałam ja pokazać. Ja, czyli aktorka, ja – Stanisława Celińska. Przyszedł moment, kiedy powiedziałam: dość. Nie wytrzymałam napięcia.

Pani jest aktorką.

I z jednej strony łapię dystans do roli, którą gram, a z drugiej angażuję się w nią, przeżywam, na scenie staję się postacią. A to z kolei nie jest dla mnie obojętne. Przecież postaci, które grałam w teatrze Warlikowskiego, wymagały ode mnie ogromnego zaangażowania, doświadczenia do spodu, wypracowania bebeczków. Po pięciogodzinym spektaklu wracałam do domu jeszcze z postacią i zasypiając o trzeciej nad ranem, czułam, że to wszystko we mnie siedzi. Poczulałam, że Fedry już nie mogę grać... Już nie mogę popełniać

na scenie samobójstwa. Nie mogę też już umierać w „Kabarecie Warszawskim”. W „Kołcu” też. Nie mogłam dłużej babrać się w tym wszystkim, zmęczyło mnie to. Poza tym, dopóki w teatrze Warlikowskiego był Szekspir, dopóki byli wielcy, to można było grać. Ale kiedy pojawiła się literatura, moim zdaniem, grafomańska, to nie chciało się tego brać, za przeproszeniem, w usta...

I pewnego dnia powiedziała pani Warlikowskiemu, że to już koniec, że grać pani nie będzie?

Krok po kroku stawałam się coraz bardziej odważna, mówiłam: tego nie chcę, tego nie chcę, to mi niepotrzebne, tego grać nie dam rady. A Krzysio mi powiedziałam, że nie interesuje mnie taki rodzaj teatru.

Musiało mu serce pęknąć.

17 lat byłam przy nim. I nie żałuję, bo to niezwykle doświadczenie. To aktorstwo do spodu, o którym w młodości marzyłam, a którego życzyć wszystkim aktorom. Jednak po latach zrozumiałam, że nie chcę już ludzi w teatrze oblepiać błotem, a potem wypuszczać do rzeczywistego świata, takich zgnojonych, wyczerpanych. Po co to robić? Lepiej po prostu dawać ludziom dobro, niż wsączać zło. Wie pani, że na tę moją „Grace i Glorię” walał tłumy, ludzie wstają, płaczą, dziękują. Sama się dużo od tej mojej Grace nauczyłam. Powtarzam sobie to, co mówię jako Grace, żeby wiedzieć, jak dalej żyć.

Co pani powtarza?

Grace robi sweter na drutach. Kiedy przychodzi do niej pani z hospicjum, mówi do niej: „(...) wiem, wiem, ty myślisz, że mi się nie uda tego skończyć za-

Hioba”, a to „Błękitną kolędę”. Teraz też pomyślałam, że coś dla Jezuska napiszę... Dwie kolędy napisałam, Maciek Muraszko zrobił piękną muzykę. Nagraliśmy też znane kolędy. A w szufladzie mam też coraz więcej tekstów na nową płytę. Okazuje się, że kiedy zaczęłam pisać, to się worek rozsypał, że mam w sobie sporo tej poezji. I nawet jak ostrzej coś napiszę, to muzyka Macieja te wszystkie ostrości łagodzi, a ludzie lubią łagodność, ona w nich wsiąka. Zresztą, myślę sobie teraz, że mocnej muzyki i mocnego tekstu w jednym już bym nie zniosła.

Wiara trzyma panią w pionie?

Chrystus to jest ten filar. Zresztą, strasznie mi się on podobają. Lubię go bardzo. Dla mnie to taki, że tak powiem, facet z jajami. Marzyłam, żeby zrobić o nim spektakl, ale nie o takim cklwym, mdłym Jezusie, tylko mądrym, silnym i charyzmatycznym. Przypomniały mi się słowa mojego dziadka Antoniego Łysakowskiego, który tak mówił do swoich kobiet – żony, czyli mojej babci, i córki, czyli mojej mamy: moje drogie kobiety, najpierw Kocham Boga, potem ojczyznę, a dopiero potem was. A teraz wiem, że jak Bóg jest na pierwszym miejscu, jak się go kocha, to kocha się i innych, i drugiego człowieka. Jeśli Bóg jest w rodzinie, to i miłość jest.

Celińska zwariowała – tak o pani koleżdy po fachu mówią?

Może i mówią albo myślą, nie wiem. Wiem, że są tacy, którzy żałują, że nie ma mnie w teatrze u Krzysia. Grałam tam przecież prawie we wszystkich spektaklach. Ale rozumieją moją decyzję. Odmówiłam też Agnieszce Holland zagra-

sprawy, że reżyserzy powierzą mi właśnie takie role. Kiedy potrzebna była tragedii, dramatu, to Celińska, bo Celińska da radę. A Celińska jest tylko człowiekiem, do tego dość wrażliwym. Nie, to już nie dla mnie. Szło to od czasu „Krajobrazu po bitwie” Wajdy, w którym zagrałam tragiczną Ninę. Wiem, że kiedy odmówiłam Holland, koleżdy pukali się w głowę, mówili: jak można odmówić hollywoodzkiej reżyserce.

Może to będzie oscarowy film, może byłby Oscar dla Celińskiej.

Ale czy ja potrzebuję Oscara?

Nie wiem.

Chyba nie za bardzo. W pewnym wieku zauważa się to, co jest ważne. A ważne jest to, gdzie żyję, mój kraj, moje miejsce. I ważne jest, żeby być szczęśliwa. Przecież z tych biednych gwiazd hollywoodzkich to chyba rzadko która jest szczęśliwa. Pewnie szukają szczęścia, spokoju, azylu na ziemi. Nie wiem tylko, czy zadają sobie pytanie: czego ja dla siebie chcę.

Czego pani dla siebie chce?

Spokoju. Od kiedy skończyłam szkołę teatralną, to, przepraszam za wyrażenie, przeżywam nieustające pasmo sukcesów, oprócz oczywiście porażek i upadków. „Objawienie” – mówili i pisali, a ja codziennie zapieprzałam i ciągle i to, i tamto, i to, i tamto... Myślałam sobie o tym, że kiedyś w dzieciństwie, w młodości wczesnej można było usiąść gdzieś na progu chałupy, patrzył się człowiek gdzieś, gapił się, a czas mijał. I się złapałam na tym, że nie mam takich chwil. I postanowiłam sobie takie chwile stworzyć.

Za chwilę na rynku pojawi się płyta „Świątecznie” z kolędami śpiewanymi przez Stanisławę Celińską



Siedzi pani w oknie na poduszce?

Kiedy na początku zdarzyło się, że miałam trzy wolne dni, to szalałam, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Na szczęście okazało się, że można usiąść, popatrzeć, coś na szydełku zrobić, poczytać, poczuć smak tego życia, a nie tylko zasuwać i zasuwać. Działeczkę mam, najbardziej lubię siąść na ławeczce przed domkiem i patrzeć tak, słuchać, jak ptaszki śpiewają, ciszy słuchać. Albo na gwiazdy patrzeć i cieszyć się z tego, że się żyje. Myślę, że właśnie po to warto się starzeć.

Ogląda pani swoje zdjęcia? Z młodości?

Z życia.

Czasem oglądam. Moja córka Ola zbiera te zdjęcia. Moja przyjaciółka, która prowadzi mój Facebook, też mi czasem coś pokazuje. I bywa, że się zadziwię. Ostatnio tak było. Dostałam stare teatry telewizyjne, w których grałam. Patrzę i mówię: „Boże, jaka laska. Te wszystkie obecne piękności mogą się schować”. Człowiek taki głupi był. W ogóle nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wyglądam. Myślałam sobie nawet, że jak ktoś będzie chciał się ze mną ożenić, to będzie jakaś laska pańska... Aktorstwo moje też mi się nie zawsze podobało, ze śpiewaniem też różnie bywało. Teraz czuję się bardziej na miejscu. Dzieci odchowane, mogą robić to, co chcą. Może to oznaka dojrzałości i pójścia po rozum do głowy. Kiedyś rzucałam się na wszystko, chociaż z góry wiedziałam, że się będę musiała naszarpać, że będzie męka bez happy endu.

O pracy pani mówi?

I o związkach też. Teraz, kiedy czuję zagrożenie i coś mi mówi: nie rób tego, to nie robię. Wolę ludziom mówić o czymś innym, swoje występy kończę optymistycznie. Zwłaszcza teraz ludzie potrzebują nadziei, prawda? Sukces „Atramentowej”, mojej poprzedniej płyty, przekroczył wszystkie moje wyobrażenia i utwierdził mnie w przekonaniu, że ludzie potrzebują dobra i nadziei.

Czyli pani chodzi o to, żeby świat naprawiać, żeby ludziom pomagać?

Tak, właśnie o to chodzi. Taką scenkę pani opowiem: moi chłopcy po koncercie już spakowani, już gotowi, a ja siedzę, z ludźmi rozmawiam i słyszę, jak oni mówią: „Stasia świat naprawia”.

Pani ma Boga za sobą, a więc ochronę.

Mam ochronę, ale zło jest szalenie aktywne i podstępne.

I czyha?

Czyha. Śmieję się, że z jednej strony stoi anioł, z drugiej diabeł i ten diabeł tylko czeka. Wystarczy, że się zawaham, już włazi. On jest jak ośmiornica, której odcinam macki, a one ciągle odrastają. Zresztą, całe moje życie żyję pomiędzy aniołem i Herodem. Miałam siedem lat, kiedy zagrałam te dwie role. Czuję jednak, że teraz dobro we mnie zwyciężyło, nie ma we mnie już tej szarpaniny. ©